

Magnificencjo i dostojny Senacie, Szanowni uczestnicy tej uroczystości.

Promocja doktorska, niezależnie od tego, czy odbywa się w trybie zwykłym, czy też ma charakter honorowy i bez względu na to, czy biorę w niej udział jako promujący, recenzent czy wreszcie promowany, zawsze przypomina mi o pierwotnym łacińskim znaczeniu wyrazu doktor. Pochodzi on, jak wiadomo od czasownika docere uczyć i oznacza tego, który uczy, nauczyciela. A zatem promocja doktorska to nic innego, jak pasowanie na nauczyciela. To uroczyste przyznanie, biegłemu w jakiejś dziedzinie, prawa do dzielenia się sobą wiedzą i umiejętnością, do nauczenia czegoś.

Przyznanie takiego prawa przynosi zaszczyt. Stanowi bowiem potwierdzenie przez innych osiągnięcia pewnego kunsztu. Jest dowodem uznania przez nich, że o danym przedmiocie posiada się dostateczną wiedzę i osiągnęło się w nim wystarczającą sprawność, by móc godnie go reprezentować i stać na straży jego prawd.

Jednocześnie, przyznanie takiego prawa czyni odpowiedzialnym i zobowiązuje, jest akcentem przeobrażenia się juniora w seniora. Senior zaś to ten, który zasadniczo nie zdobywa już wiedzy, lecz wie.

Tak pojęta odpowiedzialność i obowiązki wynikające z nadania tytułu doktora są pewnym brzemieniem, szczególnie zaś ciężkim dla artysty, którego **powołaniem jest raczej stale poszukiwać niż znajdować, i raczej wątpić niż być pewnym**. Brzmieniu temu wypada jednak podołać, a pierwszym krokiem w tym kierunku **jest próba zrozumienia czasu w jakim się żyje, własnej drogi na tym tle i wreszcie roli, jaką można w danej sytuacji odegrać**.

Cóż więc mogę powiedzieć o epoce w jakiej wypadło mi żyć? Jak widzę procesy zachodzące w sztuce w ciągu ostatniego stulecia? Jak wreszcie rozpoznaję własne miejsce i rolę w tym kontekście? Jakich wartości chciałbym strzec? Co pragnę proponować? Czemu jako doktor sztuk, mogę służyć?

Przygoda duchowa, jaka przydarzyła się człowiekowi Europy w ciągu ostatnich stu lat - jaka więc i mnie przynajmniej w pewnej mierze spotkała, jaką przeżywam dalej - jawi mi się w następujący sposób. **Cywilizacja europejska, wraz z jej kulturą i sztuką, nierozzerwalnie związana jest z chrześcijaństwem.** Ono, to przez setki lat kształtowało jej oblicze i wszelkie jej osobliwości. Nie będzie przesadą, jeżeli się powie, iż przez z górą tysiąclecie miało ono wprost monopol na dostarczenie form wszelkim dziedzinom życia ludzkiego, nie tylko **filozofia, sztuki piękne, budownictwo, rodzina** były zorganizowane według chrześcijańskich norm, również wojny, sądy i sprawowanie władzy były chrześcijańskie, a wszelkie ludzkie tęsknoty, aspiracje i najsprzeczniesze interesy wyrażały się w chrześcijańskich symbolach.

Powstaje pytanie: **w czym tkwi kulturotwórcza moc chrześcijaństwa,** jakaż to jego cecha czy pierwiastek sprawia, że **stanowi ono glebę tak płodną dla człowieka.** W pierwszej chwili może się wydać dziwne, a nawet szokujące, co powiem, lecz upatrywał bym owej siły w takich mianowicie dwóch walorach tej religii, jak z jednej strony to, iż **zdolna jest ona uśmierzać w człowieku nienawiść i powstrzymywać go od tego uczucia,** a z drugiej to, iż w swojej najgłębszej istocie stanowi ona świadomość ludzkiej słabości i nędzy, że **jest wyrazem metafizycznej pokory człowieka.**

Zważmy, że o chrześcijaństwie nie sposób powiedzieć, że jest ono religią prometejską, a więc taką, która przyznawała by człowiekowi przynajmniej możliwość samo zbawienia. Przeciwnie, chrześcijaństwo trzyma ludzkość w poczuciu grzechu i winy i z całą mocą podkreśla iż **człowiek nie da sobie rady bez interwencji Boga.** Stosując do tego zagadnienia kategorie tragedii greckiej, można by powiedzieć iż chrześcijaństwo powstrzymuje człowieka przed najniebezpieczniejszym dla niego i od niepamiętnych czasów najbardziej kuszącym go występkiem, jakim jest hybris: grzech pychy i samoubóstwienia. Chrześcijaństwo powściąga, hamuje ową tęsknotę za uzurpatorskim przyznaniem sobie atrybutów Boskich i w tym, jak sądzę, tkwi jego najgłębsza mądrość.

Albowiem doświadczenie z setek pokoleń i najróżniejszych cywilizacji dowiodła niezbicie, że z człowiekiem tak się rzeczy mają, iż **rozwija się on wtedy, gdy zdobywa się na metafizyczną pokorę, a marnieje i ginie, gdy ulega pokusie metafizycznego wywyższenia**. Rachunki człowieka są przeto zasadniczo proste: albo godzi się on na świadomość własnej słabości i nędzy i towarzyszące jej pokorę, a wówczas wolno, lecz sukcesywnie, rozwija się, a ogród jego królestwa owocuje. Albo odrzuca on brzemień upokarzającej niższości, sięga po insygnia władzy w kosmosie, ogłaszając się panem i rządzą stworzenia, a wówczas, po krótkim okresie zaślepienia, własną żłudną wielkością, stacza się w przepaść szaleństwa, a żyzne dotąd pola jego królestwa przemieniają się w pustynię.

Przygoda duchowa człowieka, o której wspomniałem powyżej, rozpoczyna się dla mnie gdzieś w wieku dziewiętnastym. Oto, pod wpływem błyskotliwych odkryć w naukach ścisłych i wynalazków technicznych, wskutek nagłego przyspieszenia tempa rozwoju i **wynikającej stąd świadomości zmienności i względności wszystkiego**, człowiek po raz któryś już w swej historii - lecz po długiej przyznać trzeba przerwie - znów zamarzył o boskości. Znów powziął myśl o wyzwoleniu się z kondycji poddanego, znów uległ pokusie skosztowania zakazanego owocu.

Ów bunt przeciw krępującym zbawczo barierą chrześcijaństwa, znalazł swój wyraz w dwóch wielkich ideach dziewiętnastego stulecia, które mimo wszelkich różnic między nimi, wcielały niewątpliwie te same prometejskie oczekiwania. Z jednej strony mam tu na myśli filozofię mocy i nad człowieka Fryderyka Nietzschego, z drugiej filozofię wyzwolenia i samo tworzenia ludzkości, sformułowaną przez Karola Marksa. Te dwie idee, u korzeni swych antychrześcijańskie, w złożonym procesie historycznym **wydały owoc w postaci dwóch najbardziej złowrogich tyranii** jakich od lat nie oglądał świat. Po raz, któryś w dziejach człowieka potwierdziło się, iż próba odejścia od Boga, a zwłaszcza zuchwała wola dorównania Mu, kończy się strasliwym i żalonym upadkiem. (*próba przerwania przemówienia*)

Zjawiska, o których mówię, znalazły swój wyraz, a raczej równolegle, przejawily się w dziedzinie sztuki. Z niezwykłą przenikliwością spostrzegł to i opisał jeden z największych pisarzy dwudziestego wieku, również i mnie szczególnie bliski: Tomasz Man w swojej znakomitej „Czarodziejskiej Górze”, a zwłaszcza w „Doktorze Faustusie”. Postać genialnego kompozytora Adriana Leverkühna, który uzmysłowiwszy sobie, iż muzyka po latach rozwoju znalazła się nagle w martwym punkcie. Stojąc w obliczu nieprzezwycięzalnych, wydawałoby się trudności, sięgnął po diabelski eliksir dający złudnie nadprzyrodzoną moc zdolną pchnąć inwencję ludzką na nowe tory i ku nowym światom. I który stworzył w rezultacie dzieło antyhumanistyczne, a sam popadł w szaleństwo. Doskonale odzwierciedla ową ludzką tragedię pychy i poniżenia. Pamiętnym i wielce wyrazistym symbolem zarówno samego zamysłu obrazoburcy, jak i efektu jego dzieła jest idea odebrania ludzkości „Dziewiątej symfonii” Beethovena.

Moje początki twórcze przypadły na okres gdy, w kraju w którym się urodziłem, wzrastałem i studiowałem, artysta stał wobec alternatywy: albo postulowana, czy narzucona wręcz przez panującą ideologię estetyka socrealistyczna, albo zwalczana czy zakazana nawet estetyka nowatorska kojarzona z ideologią burżuazyjną.

Dla twórcy poważnie i uczciwie podchodzącego do sztuki nie mogło być wątpliwości, za którą z dwóch przeciwstawionych sobie estetyk się opowiedzieć, jaki program artystyczny realizować. Wybór był przed to oczywisty. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że alternatywa, o której mówię, jest w istocie alternatywą złudną, pozorną, że każe wybierać między fałszywymi wartościami. **Że przeciwstawia sobie drogi w gruncie rzeczy do siebie podobne, bo każda z nich, wywodzi się z analogicznego źródła jakim jest odrzucenie sacrum i postulat nieograniczonej, a przez to straceńczej wolności człowieka.**

Estetyka socrealistyczna, była funkcją postulowanego przez marksizm konstruktywizmu. Estetyka nowatorska, określona wówczas w Polsce jako burżuazyjna, stanowiła daleką pochodną zmierzchu bogów i wyrosłego na tym gruncie nihilizmu. W płaszczyźnie politycznej i historycznej dwie wielkie pseudo prometejskie idee dziewiętnastego

wieku, przybrały postać najrozmaitszych kultów: kultu historii, wódza, postępu i siły. W dziedzinie sztuki przejawiały się one w postaci najrozmaitszych fetyszy: z jednej strony prostoty i ludowości, z drugiej: nieokiełznanej swobody i eksperymentu.

Wszedłszy na tę drogę, zorientowałem się po jakimś czasie, iż więcej się na niej burzy niż buduje, że przekraczanie i obalanie kolejnych barier prowadzi w końcu na pustkowie. **I zrozumiałem wreszcie, że właściwa opozycja zachodzi gdzie indziej: nie pomiędzy konstruktywizmem a formalizmem - lecz pomiędzy tymi oboma trendami, a zagubioną czy porzuconą w jakimś momencie tradycją ugruntowaną na sacrum.**

Można powiedzieć, że uświadomienie sobie tej sprawy było w mojej biografii twórczej zasadniczym punktem zwrotnym. Od tej chwili mój dorobek kompozytorski znaczone jest takimi między innymi utworami jak: „Pasja według św. Łukasza”, „Jutrznia”, „Magnificat”, „Raj utracony”, „Tedeum” czy chociaż „Requiem”, których tytuły mówią same za siebie. **Tej drodze, pragnę pozostać wierny. Te wartości pragnę dalej rozwijać.**

Chciałbym przy tym zaznaczyć, że nawiązywanie do tradycji chrześcijańskiej nie oznacza bynajmniej opcji na rzecz sztuki sakralnej. **Nawiązywanie do tej tradycji jest dla mnie programem o wiele szerszym i głębszym niż doraźne służenie kościołowi.**

Żyje na świecie trzech Polaków, których osobowość, postawa, myśli i dzieła wywarły na mnie istotny wpływ i którym chciałbym w tym momencie wyrazić swą wdzięczność. W pierwszej kolejności pragnę wymienić kapłana, papieża **Jana Pawła II**, który z godną podziwu siłą i świeżością głosi ewangeliczne orędzie i dźwiga wszystkich, którzy upadają. Po drugie pragnę wymienić poetę **Czesława Miłosza**, którego książka „Zniewolony umysł” otworzyła mi niegdyś oczy na wiele spraw, a którego dokonane ostatnio przekłady słynnych „Ksiąg biblijnych” stały się dla mnie źródłem natchnienia. Po trzecie wreszcie, pragnę wymienić filozofa **Leszka Kołakowskiego**, którego takie prace jak: „Świadomość

religijna” i „Więź kościelna”, później „Obecność mitu” i niedawno wydana „Religia” podbudowały teoretycznie wiele moich artystycznych intuicji.

Ci trzej ludzie, przy wszelkich różnicach jakie ich dzielą, zdają się w moim przekonaniu być zgodni i bliscy w jednym: W tym mianowicie, **iż pilną potrzebą współczesnego świata jest nawrót do chrześcijańskich wartości i jak najrychlejsze odbudowanie strzaskanej przez kataklizmy dwudziestego wieku metafizycznej przestrzeni człowieka.** Temu celowi również i ja chciałbym służyć swą sztuką.

Przyznany mi przez Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu doktorat honoris causa, jest pierwszym tego rodzaju doktoratem jaki otrzymuję w ojczyźnie. Satysfakcja i zaszczyt jakich zaznaję są tym większe, iż jak się dowiaduję, tytuł ten nadano tutaj w przeszłości tak wybitnym osobistościom jak Ignacy Paderewski i Józef Piłsudski, znowuż Polakom, których postawa i geniusz są mi szczególnie bliskie.

Swoją wypowiedź pragnę zakończyć słowami przysięgi jaką przy takiej okazji z zwykło się składać. **Otóż, będę się dalej trudził nad moim dziełem, nie dla lichego zysku ani dla zdobycia próżnej chwały, lecz aby szerzyć prawdę i by jej światło, które stanowi dobro ludzkiego rodzaju, jaśniej świeciło.**

(długie owacje)

(transkrypcja, KA, jego.org.pl, 2023-20)